Ner 14. Kraków 29 grudnia 1866. Rok I.



Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.— Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 złr. 20 c., *półrocznie* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocznie* 1 złr. 80 c. — *Prenumerata zagraniczna* bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w.a.

Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocznie* 90 c. w. a.

Nuty rocznie 1 złr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. mikołajska 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha.

We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi Hercoka i Arnolda na Halickiém

W Poznaniu w księgarni Mieczysława Leitgebra, Hotel du Nord.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Od Redakcyi „Kaliny".

Wzrastająca z każdym dniem liczba Prenumeratorów, przekonując nas, że pismo tego rodzaju było pożądaném i potrzebném, pozwala nam zarazem uwzględniać wymagania Sz. Czytelniczek i zaprowadzać stopniowo ulepszenia i zmiany **bez podwyższania prenumeraty**.

Od 1go stycznia 1867 będzie wychodzić „KALINA" na **welinowym papierze**. — Pozostajemy przy programie jakiśmy sobie założyli. Pojedyncze części jego zwolna wprowadzać będziemy, aby pismo nie było jednostronném. — Zapewniliśmy sobie stałe korespondencyje z Wiednia, Warszawy i Paryża, jak również sprawozdania z powszechnéj wystawy paryzkiéj. — Będziemy się starali przyozdabiać od czasu do czasu pismo nasze ilustracyjami, zwłaszcza w objaśnieniu artykułów z przyrody. — Szczególną zwróciliśmy baczność, aby **rubrykę mód i krojów** robić coraz praktyczniejszą; podamy w styczniu jeszcze raz szczegółowy opis sposobów zastosowania pomniejszonych wzorów, a na odwrotnéj stronie arkusza krojów ***dokładny szemat redukcyjny***, *obejmujący naturalne rozmiary ciała, począwszy od dzieci, aż do słusznych figur.* Będziemy również podawać ***wzory deseni*** i ***ubiorków na głowę***.

Czyniąc zadosyć licznym zgłaszaniom się, zawarliśmy stosunki z odpowiedniemi zakładami i uwiadamiamy: że *przyjmujemy do załatwiania* wszelkie sprawunki i komisa damskie, toaletowe, krawieckie, modniarskie, księgarskie itd. Osobno do tego ustanowiony zarząd kobiecy, będzie się starał uiszczać najlepiej i najpunktualniéj.

W celu uzupełnienia zadania pisma naszego, w celu zadosyćuczynienia na obszerniejsze rozmiary tak umysłowym jak i praktycznym wymaganiom kobiet — co u nas dotąd jeszcze w ramy żadnego wydawnictwa nie wchodziło, ogłaszamy niniejszém jako dodatek przy „KALINIE":

Wydawnictwo BIBLIOTEKI dla kobiet.

Biblioteka dla kobiet obejmować będzie trzy działy:

I. Arcydzieła z literatury pięknéj — bądź oryginalne, bądź w przekładach.

II. Rzeczy dotyczące wychowania i całego utrzymania domu, przedstawiane przystępnie i z należytą gruntownością.

III. Stosowne przedruki z literatury dawniejszéj z objaśnieniami.

W przeciągu roku wyjdzie „Biblioteki dla kobiet" **50 arkuszy druku.**

Odnośnie do powyższych trzech działów wchodzą w bieżący program następujące przedmioty: *Podręcznik do dziejów literatury polskiéj aż do 19go wieku*, obejmujący treściwe poglądy na epoki a obszerniejszy rozbiór prac, których wartość i znaczenie z czasem nie przemija. — *Przewodnik w literaturze polskiéj 19go w.* — *Wypisy polskie*, obej-

mujące ułożone w historycznym porządku wyimki z celniejszych autorów i autorek polskich — do użytku praktycznego tak w domu jak i po zakładach wychowawczych. — *Lew zakochany*, komedyja Fr. Ponsarda. — *Wybór poezyj Heinego.* — Przekład polski jednéj z najnowszych, a u nas nieznanych powieści francuzkich. — *Wybór pism pani Sevigné.* — *Wychowanie dziewcząt* podług sławnego dzieła Henryka Martin. — *Dom*, księga praktyczna, obejmująca następujące rozdziały: podział czasu i pracy, zarząd, domowe gospodarstwo miejskie i wiejskie, kuchnia, spiżarnia, piwnica, kredens, apteczka, służba, goście. — Katalog wskazówkowy polskich i obcych dzieł we wszystkich przedmiotach wchodzących w zakres wychowania dziewcząt.

„Bibliotekę“ można prenumerować albo jako dodatek w biórze „KALINY“ i we wszystkich jéj ajencyjach — albo też osobno przez księgarnią Franciszka GRZYBOWSKIEGO w Krakowie, a za pośrednictwem wszystkich księgarni.

Prenumerujący jako dodatek, będą ją odbierać razem z „KALINĄ“, arkuszami.

Prenumerujący osobno mogą odbierać również arkuszami, albo każde dzieło po skończeniu.

Prenumerata na **Bibliotekę dla kobiet** wynosi rocznie 6 Zł. w. a. — półrocznie 3 Zł. w. a. — ćwierćrocznie 1 Zł. 50 c. w. — miesięcznie 50 c. w. a.

☞ Upraszamy o wczesne zamówienia tak na „Kalinę“, jak i na „Bibliotekę dla kobiet“ — albowiem od tego zależy ilość nakładu — zwłaszcza mód i nut.

MĘCZENNICA

(POWIEŚĆ.)

przez

Zofią z pod Karpat.

(Dokończenie.)

Po jéj odejściu hrabina kładąc się, rzekła do siebie zadowolniona.

— Wierzę jéj. Nie tak więc straszną jest ta historyja, jak myślałam.

Joanna tę noc przepędziła bezsennie, w okropnych męczarniach moralnych. Najrozkoszniejsze pokusy porywały ją ze sobą w półśnie, zdawało jéj się, że jakieś rozigrane morze pachnących kwiatów unosi ją ze sobą ku zielonéj wyspie, na któréj czeka ją młody człowiek, piękny, uśmiechający się — ona wyciąga ku niemu ręce; ale za sobą słyszy dwa głosy dwóch matek, jeden przeklina, drugi się skarży. Rzuciła się więc wstecz, odepchnęła kwiaty i pokazała się otchłań, która ją pochłaniała. Chciała krzyczeć, brakło głosu: chciała się ratować, brakło sił.

Zmęczona tym snem, zbudziła się spotniała cała. Ranek był pochmurny, ciężki. Joanna wstała i napisała list do matki, zgadzając się na małżeństwo z rządcą, kłamiąc nawet przed nią, że przylgnęła do tego człowieka, i widzi, że z nim będzie szczęśliwą.

Z tym listem stanęła przed hrabiną.

— Oto broń moja — rzekła cicho.

Hrabina przeczytała, pocałowała ją w czoło i rzekła:

— Rozsądną jesteś moja panno, nie zapomnę ci tego. —

Męczennica rozśmiała się boleśnie.

Po śniadaniu wyszła na ganek. Rządca wyjeżdżał właśnie w pole; kazała go przywołać.

— Panie Ignacy, oto list do mojéj matki, bądź pan łaskaw przesłać go na pocztę.

— Czy mogę spytać się, co zawiera dla mnie ten list, czy mogę mieć nadzieję panno Joanno?

— Więcéj jak nadzieję — rzekła poważnie.

Rządca pocałował ją w rękę, nie broniła mu tego, stała nieruchoma jak posąg bez duszy.

W kilka dni po téj scenie hrabina raz podczas obiadu niby od niechcenia zapytała Joanny:

— Miała panna list od mamy?

— Dostałam go wczoraj.

— I na kiedyż dzień ślubu oznaczony?

Hrabia Adam ruszył się na krześle niespokojnie i popatrzył zdziwiony na Joannę.

Ona zebrała całą moc duszy, by nie zdradzić wzruszenia i rzekła powoli:

— Na trzynastego czerwca.

— Powinszować więc pannie.

Wstano od stołu — Joanna wracała przez bawialny pokój do siebie, zastąpił jéj drogę młody hrabia, był cały wzburzony, nieprzytomny.

— Pani, co to znaczy, co matka moja mówiła przy obiedzie? — spytał stłumionym, dyszącym głosem.

Joanna pobladła.

— Jakto, co znaczy, to było jasne.

— Więc to prawda?

— Prawda — odrzekła uroczyście.

— Joanno, wy mnie uwodzicie, wy mnie oszukujecie, to nie jest prawda, to nie może być prawdą. Ty niemiałabyś serca odrzucić mnie, który cię pokochałem jak nikt kochać nie może...

Joanna wyrwała rękę z rąk jego.

— Nie zapominaj panie hrabio, że mówisz do narzeczonéj — cofnęła się z godnością i wyszła.

Adam rzucił się w rozpaczy na kanapę.

— O! kto was zrozumie bezczelnice — zawołał tarzając się z bolu.

Joanna słyszała to szamotanie się, słyszała bluźnierstwo zrozpaczonéj duszy i modliła się:

— Nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego.

V.

Tajemnica starego hrabiego.

Trzynastego czerwca odbył się ślub p. Ignacego S. z Joanną. Po ślubie panna młoda z matką wyjechały na nową dzierżawę pana młodego. Matka była pełna szczęścia i radości, widziała zabezpieczony los dziecka, mogła z nią odtąd być razem, patrzeć na nią i cieszyć się jéj powodzeniem. Patrząc na pożycie młodego małżeństwa, powtarzała sobie z uciechą: Jak oni się kochają. Jaka ona szczęśliwa! — Biedaczka nie domyślała się nawet, za jak krwawą ofiarę kupiła córka dla niéj to szczęście, Joanna bowiem tak zapanowała nad sobą, tak swoje męczeństwo zamaskowala uśmiechem, wesołością, że najwprawniejsze oko nie byłoby się dopatrzyło przymusu. Nawet mąż jéj, który domyślał się skłonności do hrabiego i wiedział o zabiegach jego, odpędził to podejrzenie jako niesłuszne i oddał się cały szczęściu małżeństwa.

Tymczasem młody hrabia rozszalał się w zabawach, hulankach, w grze szukał lekarstwa na ból duszy, z cynicznym uśmiechem mówił o swojéj miłości, drwił, szydził, chciał to pierwsze piękne uczucie obryzgać błotem, by je sobie zbrzydzić, ale napróżno. Wspomnienia tych chwil świętych, pełnych zachwytu i czystości, odpychane wracały natrętne i stawały przed oczyma. Nieraz wpatrywał się w nie długo, nagle zrywał się i cynicznym żartem odpędzał te mary i odstraszał je bluźnierstwem.

— Cóż słychać o Joannie? spytał go raz ojciec.

— Co słychać, domyśleć się nie trudno. Chodzi do chlewu, do obory, gotuje mężowi kaszę i kontenta, że złapała męża. One wszystkie takie, udają aniołów dopóki się nie uda zostać gospodynią.

— Ale czy żyją dostatnio?

— Spodziewać się należy. Rządca nie musiał u nas próżnować, zabezpieczył się należycie.

— To dobrze, bardzo dobrze, że im się nie źle wiedzie. Teraz mi lżéj.

Adam nie rozumiał mowy ojca — ruszył ramionami i wyszedł. Mimo wiedzy zaszedł do pokoju Amelki, nieraz tam siadywał w zadumie głębokiéj. Lubiał rozglądać się w tych miejscach, w których ona była. Dziś usiadł, zapatrzył się przez okno na ogród i w zamyśleniu przewracał kartki kajetu siostry. Z pomiędzy kartek wyleciała ćwiartka papieru, kiedyś mocno zmięta, teraz wyprasowana długiém leżeniem w kajecie. Adam bawił się niedbale, przelotnie rzucił oczy na pismo. Uderzył go tytuł: Kochana Joasiu! Zadrżał na to imię. Był to list od matki Joanny — Adam począł czytać, połykał go oczami, twarz jego się ożywiała jakiemś pięknèm uczuciem. Gdy skończył, zakrył twarz rękami i długo tak stał.

— I jam się tego nie domyślił — rzekł do siebie — że ona nie mogła zgrzeszyć niczém, tylko zbytkiem poświęcenia. I ja śmiałem lżyć tę świętą kobietę. Ach jaki ja mały przy niéj, jaki podły.

Łzy żalu rzewnego puściły się z oczów Adama, z temi łzami roztajała dusza jego, co już była skrzepła, prąd czystych, szlachetnych myśli popłynął znowu — hrabia ożył na nowo.

Wyszedł i kazał osiodłać konia. Teraz potrzebował ją koniecznie widzieć, chciał się jéj do nóg rzucić, błagać o przebaczenie. Naglił konia do lotu tak mu było pilno. Jazda i chłód wieczorny ostudziły nieco wzburzoną krew, uczuł niestósowność takiego kroku, przypomniał sobie męża jéj, spóźnioną porę i chciał się wrócić. Ale w zmroku bielił się dworek, w którym ona mieszka: odjechać i nie widzieć jéj, to niepodobna. Objechał więc ogród łąkami, przywiązał konia do płotu, sam przeskoczył na drugą stronę i zasłonięty cieniami liści, podsunął się pod okna oświecone. Zaparł w sobie dech, zbliżył się ostrożnie i spojrzał w głąb. Przy stoliku siedziała matka z robotą, Joanna czytała jéj jakąś książkę — twarzy jéj nie mógł widzieć, bo lampa zasłaniała, ale słyszał głos cichy, trochę drżący. Męża widać nie było w domu. Dawne postanowienie znowu ocknęło się w nim, chciał iść i rzucić jéj się do nóg, ale zatrzymała go jedna myśl. Nie wątpił teraz, że go kochała, że tylko dla szczęścia matki poświęciła to uczucie. Ileż więc ta kobieta cierpieć musiała, zanim zmęczeniem zdobyła sobie tę trochę spokoju dla duszy, którego on tak długo nie mógł znaleść dla siebie. I maż on teraz iść i zburzyć jéj ten spokój tak mozolnie nabyty? Nie, to byłoby niegodnie, samolubnie. — Pożegnał ją więc spojrzeniem i odszedł. Siadł na konia i szybko odbiegł od miejsc, od których trudno się było oderwać. W drodze spotkał jakiegoś mężczyznę czarno ubranego, idącego w stronę dworku. Nie uważał go, ale mężczyzna ów poznał go — był to mąż Joanny. Widok hrabiego Adama w tych miejscach o tym czasie obudził w jego duszy dawne domysły i podejrzenia, zazdrość szalona poczęła palić mózg i łaskotać nerwy. Wszedł do domu ponury, niespokojny, choć się silił na spokój. Żona przywitała go pogodnym uśmiechem i podała mu rękę. Przywitał ją chłodno, obojętnie.

— Co tobie jest Ignacy, coś się musiało wydarzyć w polu, jesteś zirytowany.

— Nic mi, trochę chłodno na polu.

Usiadł i czekał z ich ust wiadomości o bytności hrabiego. Niedoczekał się — zaczął więc sam:

— Był tu kto u was?

— Nikogo nie było. Toż byłabym posłała po ciebie.

Ignacy przygryzł wargi i podejrzliwie spojrzał na

żonę. Ta była spokojną i nie domyślała się nawet, jaka namiętność targała w téj chwili duszę jéj męża. — Ignacy pokonał się, przemógł na sobie lepszy humor, pocieszając się, że to nie ostatni raz była ta wizyta, że będzie mógł tym kobietom robiącym teraz takie święte miny, plunąć w oczy ze wzgardą.

Tak więc równowaga zdobyta wielkiém poświęceniem, chwiać się znowu zaczęła i ku ciemnym przepaściom nachylało się szczęście téj rodziny.

Na drugi dzień o świcie Ignacy wyjechał do miasteczka na targ, by wrócić przed wieczorem na zasadzkę. — Po jego odjeździe w godzinę przybył posłaniec od hrabstwa z listem. Amelka donosiła Joannie, że umierający ojciec pragnie się widzieć z nią i z jéj matką, że bez nich nie umrze spokojnie. Pojechały przeto niezwłocznie. Najpierwszą spotkali hrabinę. Nie zmieniła się wcale, chwilowo złagodniała i zgrzeczniała dla Joanny, gdy jéj ta była potrzebną, dziś miała dla niéj znów oblicze dumne, minę sztywną, uśmiech zimny, szyderski.

— Nie próżnowałaś w tym domu — rzekła — nie tylko synowi, ale i ojcu nie dałaś pokoju. Idźcie, czeka was — może jaki zapis....

Kobiety w milczeniu przeszły przez te uszczypliwe słowa jak przez rózgi i weszły do pokoju, w którym leżał hrabia. Twarz jego była żółta jak wosk gromnicy, zapadła — w tych załomach i cieniach twarzy śmierć się już rozsiadała. Gdy weszły dwie kobiety, leżał nieruchomy. Myślały że się już spóźniły. Poruszył się jednak za chwilę.

— Są już? — spytał z ciężkością.

— Jesteśmy.

— Ha, to dobrze, chodźcie tu, bliżéj mnie — i szukał ich rękami i przyciągał ku sobie. — Czy tu oprócz was niema nikogo?

— Niema.

— Drzwi zamknięte?

— Zamknięte — powtarzały kobiety zaniepokojone.

— Słuchajcie więc, mam się wam wyspowiadać z tajemnicy, która mi lata długie ciąży na duszy. Ja znałem waszego ojca — mało powiedzić znałem, żyliśmy blisko ze sobą w szkołach i potém jeszcze. Położenie zbliżyło nas do siebie, (bo ja nie byłem majętnym), choć opinije różniły nas. On był człowiek granitowy, zasad jak je tam zwią liberalnych; — ja byłem słabym i miękkim, a herb kochałem nad wszystko. Nieraz herbownika upokarzał ten człowiek z gminu swoją szlachetnością. Raz pamiętam po Nowym-Roku przyszły nam zkądś pieniądze, wpadło nam na myśl odłożyć kilkadziesiąt złotych i kupić los — popróbować szczęścia. Wzięliśmy na połowę — ja kupiłem bilet i miałem go przy sobie. Los nasz wygrał — wtedy ja... nie patrzcie mi teraz w twarz, nie zniósłbym waszego wzroku choć jestem ślepym — wtedy ja poszedłem do niego i powiedziałem: wygraliśmy. Ucieszył się, bo suma była znaczna. Ale los jest u mnie, dodałem, i tylko ja mogę zabrać pieniądze. — Spojrzał mi niedowierzająco w twarz, miałem czoło bezczelne, niezrumieniłem się wtedy. — Żartujesz — rzekł głosem dziwnym. — W pieniądzach niema żartów — odrzekłem — jeżeli chcesz, możemy się ułożyć, wrócę ci stawkę i dodam co jeszcze.

Wtedy on plunął mi w twarz, ot tu i rzekł grzmiącym głosem: Ja ci dodam ślinę pogardy. Straciłem dziś tysiące, a zyskałem przekonanie, warte miliony, przekonanie, że magnackim rodom koniec się zbliża, gdy się tak podlić umieją. — Po tych słowach nie widziałem go więcéj. —

Tu zmęczony starzec odpoczął. Po chwili ciągnął daléj:

— Więc widzicie jakim jestem, jestem złodziejem, mój majątek to kradzież, ta myśl wciąż stoi przedemną, Bóg mnie ukarał ślepotą, ale ta kara nie uspokoiła mnie, ja zawsze wasz dłużnik, wasze ubóstwo ciężyło na mojém sumieniu. — I cóż? myślicie zapewne, żem was wezwał po to, aby oddać majątek i umrzeć spokojnie? — Nie. —

Skrzywił się gorżko przy tych słowach —

— Nie, stary hrabia nie umie się zdobyć na to, oddając wam co wasze, zrobiłby z własnéj rodziny żebraków, bo majątek nasz nadwątlony. Amelka nie miałaby nic. Pojmujesz Joanno, jakby to było okropnie. Ja wam nic dać nie mogę; owszem, ja chciałbym was prosić jeszcze, prosić o przebaczenie. —

Kobiety podały mu ręce na znak potwierdzenia.

— Nie przypadkowi, ale pracy chcemy zawdzięczać naszą zamożność, rzekła matka. —

— A ha! on cię tych słów nauczył — on mi tak samo mówił tylko inaczéj: Wy wszystko — rzekł — winniście ślepemu trafowi, my wszystko zdobędziemy pracą. Tak on mówił, ja pamiętam wszystkie jego słowa. —

Znowu odetchnął, potem dodał:

— O! lżéj mi teraz umierać z waszém przebaczeniem. Ale jeszcze jedno — rzekł z trwogą — przysięgnijcie mi, że nigdy nikomu nie powiécie o tém, nie powiecie po com was tu wzywał. Idzie tu o honor moich dzieci. —

— Przysięgamy — rzekły kobiety i pożegnały starca.

Odchodzące, znowu kłóła hrabina obelgą, niewiedząc, że łzy swoich dobroczyńców.

Zbliżając się do dworku, zobaczyły światło w oknach.

— Ignaś już przyjechał. — Nie dobry, nie wyjechał naprzeciw nas, o, połaję go za to. —

I z tą przygotowaną wymówką wchodziła do pokoju; ale słowa zamarły na jéj ustach, gdy zobaczyła twarz męża. To nie był człowiek, to zwierz rozwścieczony, szalony, rzucający się — twarz rozogniona, ru-

chy gwałtowne. Gdy zobaczył wchodzące kobiety, poskoczył ku nim i wrzasnął, zaryczał raczéj:

— Precz, precz mi z mego domu.

Potrzeba nam kilkoma słowami wytłómaczyć ten okropny stan Ignacego.

Jak wiemy, pojechał do miasteczka z zamiarem wrócenia na czas na zasadzkę. Tak téż zrobił, czekał przy drodze i nasłuchiwał tententu konia. Gdy nic nie zachwycił uchem, podszedł pod dworek. I tam było cicho. Wszedł. nie zastał nikogo — od czeladzi dowiedział się, że panie pojechały do hrabstwa. Można sobie wytłómaczyć wściekłość Ignacego — polował koło swego domu na hrabiego, aż tu dowiaduje się, że one same do niego pojechały. Tak podejrzliwy człowiek tłómaczył sobie wyjazd żony. —

— Ignasiu! co się tobie stało? — odezwała się Joanna łagodnie reflektując go.

— Co mi się stało? Jeździsz do niego i pytasz co mi jest? Ja nie ślepy.

— Byłyśmy u starego hrabiego, bo nas wzywał. —

— Po co? —

Córka spojrzała na matkę i nie wiedziały co powiedzieć; przysięga wiązała im usta..

— Naradzacie się jak skłamać. O przeklęta ta godzina, w któréj dałem się nakłonić do tego małżeństwa. I ty matko, ty sama, któraś mi tyle szczęścia obiecywała z tym twoim Aniołem — wozisz ją tam. Jakie wy bezczelne. —

Matka postawiła w słup oczy, zrobiła okropny nieprzytomny grymas na twarzy. —

— Słyszysz ty co on mówi? — zawołała na córkę i zaśmiała się okropnym spazmatycznym chichotem.

VI.

Zakończenie.

Znalezienie owego listu, który go przekonał o szlachetności Joanny, chwilowo tylko uspokoiło hrabiego Adama; po kilku dniach smutek wrócił tym okropniejszy, że nie miał na niego lekarstwa. Dawniéj mógł drwić i śmiać się z téj miłości, dziś mógł tylko rozpaczać widząc co stracił, jakie skarby serca i duszy zamknęły się przed nim. Z rozpaczy przeszedł w stan apatyi, otrętwienia. Ani śmierć ojca nie mogła go wyrwać z tego stanu — szedł za trumną bez łzy, nad grobem miał zaciśnięte usta i ręce skrzyżowane na piersiach. Długo po odejściu ludzi stał na cmentarzu zamyślony i może marzył o tym spokoju, jaki daje chłodna mogiła i grobowy kamień. Co po za tém? Myśl jego nie szła daléj — nicość była dla jego smutku wystarczającém lekarstwem.

Są chwile, w których człowiek z dziwnym spokojem patrzy w grób — i to nie w skutek rezygnacyi jaką daje wiara, ale w skutek zobojętnienia, braku celu życia, czczości i nudy. W takiéj chwili znajdował się Adam. Nie miał nic, coby go wiązało z życiem — związki rodzinne były zbyt zimne, obojętne, by go nęcić mogły; w rodzinie hrabstwa nie było ciepła, miłości — był takt, zwyczaj i forma. Nie miał żyć dla kogo lub dla czegoś.

Wrócił do domu wieczorem i pisał. Długo w noc paliło się światło w jego oknach. Na drugi dzień kazał osiodłać koknia, dobył z pudełka pistolet, włożył go w kieszeń, rzucił listy na biórko i wyjechał. Za wsią skierował konia ku dworowi Ignacego. — Ignacy był właśnie w polu pod lasem, poznał z daleka hrabiego i zatrząsł się cały.

— Otóż jest znowu — szepnął do siebie.

Rozporządził robotnikami i szybko bliższą drogą koło zarośli wracał do domu, wpadł drzwiami od ogrodu do siebie i uchyliwszy nieco drzwi do pokoju żony, czekał z bijącém sercem, z zaschłémi ustami, drżący cały. —

Hrabia tym razem zajechał prosto przed dom i wszedł do pokoju. Na twarzy miał jakąś straszną powagę.

— Poproś pani — rzekł do służącéj.

Za chwilę weszła Joanna, zobaczywszy go, cofnęła się.

— Chwilkę pani, jednę chwilkę...

— Mnie nie wolno z panem mówić... jestem żoną, uszanuj panie hrabio mój spokój.

— Nie przyszedłem mącić spokoju, chciałem panią pożegnać.

— Gdzie pan odjeżdżasz? — spytała zdziwiona tonem jego mowy.

— Daleko, bardzo daleko — rzekł gorżko i pokazał jéj pistolet — oto plan méj podróży. Nie marszcz pani tego jasnego czoła, nie przyszedłem cię straszyć, ale zobaczyć i pożegnać. Wiem, że to słabość z méj strony, okropnie nędzna w obec twéj świętości, ale nie mógłem zdobyć się na odwagę, iść tam bez twego przebaczenia. Dziś, gdy obrączka ślubna okuła twoją duszę, nie będę kalał twych uszów wyznaniem...

— Panie hrabio pozwól że odejdę.

— Bądź pobłażliwą dla umierającego — tak, kochałem cię, dziś widzę co mi wydarto, kobiety tak czystéj, świętéj, tak umiejącéj cierpieć i poświęcać się, ja nie znalem. Samo patrzenie na ciebie zmieniło mnie do niepoznania — o cóżbyś ty mogla zrobić ze mnie. Dziś ja stracony.

— Panie hrabio, podziwiasz poświęcenie słabéj kobiety — a ty mężczyzna na nie się zdobyć nie możesz. Jedno nieszczęście tak cię złamało, że zrzucasz z siebie wszystkie obowiązki. —

— Jakie?

— Spojrzyj po świecie, ileż tam ludzi cierpi więcéj stokroć niż ty panie hrabio, wielu potrzebować będzie twego kierownictwa, rady, pomocy i ty jeden z pierwszych w kraju masz czoło uciec cichaczem ze stano-

wiska i jednym nabojem wykupić się od wszystkich obowiązków. O panie hrabio to niegodnie.

Hrabia spuścił głowę na pierś i zapatrzył się w ziemię.

— O wierz mi pan — ciągnęła Joanna — że w najcięższém poświęceniu dla drugich, jest dla nas samych wiele rozkoszy, jest zadowolnienie i spokój.

— Wierzę pani, Twoje słowa mają siłę czaru i natchnienia. Otworzyłaś mi przed oczami świat, którego mi nie pokazano dotąd, wskazałaś cel. Pójdę do niego — moje życie będzie upominkiem od ciebie, o! będę go szanował. Żegnam panią. Wyciągnął ku niéj rękę.

— Szczęść Boże — rzekła, podając mu swoją.

Hrabia chciał złożyć pocałunek na jéj drobnéj, białéj rączce — cofnęła ją prędko i rzekła z powagą:

— Panie hrabio umiéj być szlachetnym. To widzenie nasze ostatnie.

Hrabia odszedł — po jego odejściu wpadł Ignacy — był wzruszony, miał łzy w oczach.

— Joanno przebacz mi jam cię strasznie obraził, jam nie wart ciebie.

— Ja ci przebaczyłam — idź matkę przeproś.

Wyszedł — męczennica upadła na kolana przed wizerunkiem ukrzyżowanego i prosiła zmęczona:

— Boże! dodaj siły. —

Dwie kobiety.

Dwie znałem kobiety i kochałem obie —
Jedna, niby lilja na kryształnéj wodzie,
Niby brzoza płacząca, co stoi na grobie --
A druga, jak róża w wiosennym ogrodzie.

Jedna mnie nęciła złzawioném spojrzeniem,
I bladém obliczem i spokojem czoła —
Więc ją ukochałem, bom znał się z cierpieniem,
Bom znał już tęsknicy czarnego anioła.

Tęschniłem za drugą — jak za szczęściem życia!
Chciałem jéj uśmiéchu, swobody, radości,
By ból ten ukoić, com uniósł z powicia —
I dwie miałem w sercu prawdziwe miłości!

Lecz lilja ma matka, gdy fala się pieni,
Zniknęła wśród toni spokojna i święta...
A róży, czas listki pozrywał w jesieni
I w ciemne, światowe pogrążył odmęta.

Jam smutny pozostał z rozwianym urokiem —
Już serce się nie rwie w różanne ogrody,
Lecz lubię się patrzeć pobladłém już okiem
Na ciche, szemrzące, kryształowe wody....

A. W.

I to minie.

Gdzież jest broń moja, gdzie bojaźń głęboka,
Nieufność, co tak brzęczała zawzięcie?
Ona zachciała, ona, czarnooka,
I pierś otwarłem na gościa przyjęcie.

I była chwila poranna i święta:
Nieufność gasła, posnęły obawy,
Uczuć dziecina wyciągła rączęta,
Chciała uchwycić za promień jaskrawy....

Lecz schowaj rączki dziecino, o schowaj,
I przytul główkę do trwogi tajemnéj —
Ta czarnooka, to wichrów królowa,
Porwie, porzuci cię w przepaści ciemnéj.

Błogosław moja dziecino twéj trwodze,
Cyt, cyt, o moje ty pisklę serdeczne; —
Taka już dola duszyczce niebodze
Roztleć — gasnąć — sama — i tak wiecznie.

i.—d.—

Manon Phlippon Roland.

(Życiorys.)

(Dokończenie.)

Jest to jedna z najrzadszych pochwał, które się wielkim i sławnym osobistościom dostają, a która się szczegółowo p. *Roland* należy, a mianowicie, że im więcéj się zgłębia jéj życie, jéj pisma i listy, tém więcéj całość staje się pojedyńczą i jasną. Zawsze ta sama mowa, te same myśli bez ogródek, żadnych fałdów, żadnego powikłania namiętności, żadnych staré życzeń i dążności. Nawet ta ostatnia jéj miłość mistyczna, któréj przedmiot nieznany, i którą tylko pewne rysy zdradzają, jest majestatyczną w swojém milczeniu. Zresztą zupełna prawda, wyraźność, płynność, żadnego cienia, żadnych zasłon.

To téż w chwilach przedzgonnych ona sobie rozważa z całym spokojem życie swoje i maluje je żywemi, niezatartemi barwami począwszy od dni dziecinnych, pobytu w klasztorze, pracowni ojca, tylnego saloniku swojego, swoich przechadzek i nauki, pobytu u księdza wuja — wszystko cośmy poznali aż do hałasu rewolucyjnych dzwonów i uderzeń własnego serca. I to zwierciadło pamiętnikowe musiało jéj błogi przedstawiać obraz, skoro mogła zakończyć wyznania swoje takim pożegnawczym hymnem: „Żegnam cię moje dziecię, mój mężu, moi przyjaciele. Żegnam cię słońce, którego jasne promienie wnosiły pogodę do mojéj duszy, tak jak ją po niebiosach roznoszą. Żegnam was sielskie ustronia, których widok mnie tak często przejmował wzruszeniem, i was mieszkańcy wioskowi, którzyście

błogosławili obecność moją, których pot ocierałam, łagodziłam nędzę, których w chorobie pielęgnowałam. Żegnam was ciche gabinety, w których mój umysł karmiłam prawdą, w których wyobraźnię moją ujarzmiałam nauką i nauczyłam się wpośród cichéj rozwagi panować nad zmysłami i gardzić próżnością".

Zakończymy życiorys jéj portretem, jaki o niéj podaje *Lemontey* współczesny i naoczny świadek: „Widziałem kilka razy p. *Roland* przed rewolucyją. Wzrost, oczy, włosy zadziwiającéj piękności. Płeć delikatna, przeźroczysta, koloryt nadzwyczaj świeży, który dziwnie odmładzał jéj rysy zawsze dziewicze i wyraz zawsze skromny.... Była piękną, bardzo piękną. Gdym ją ujrzał pierwszy raz, zdawało mi się, że widzę *Julią* Russa, a gdy poczęła mówić, wzrastało złudzenie.... Zazdrośni szeptali, że jéj mowy były zawsze przygotowane i obliczone. Śmieszny fałsz. Bystrość, rozum, właściwości wyrażania się, pikujący dowcip obok naiwnéj powabności, wszystko tryskało naturalne, niewyszukiwane z białych jéj ząbków i różanych ustek. Nie można się było oprzeć jéj czarowi.

W ciągu rewolucyi raz ją tylko widziałem.... Ta sama młodość, świeżość i prostota; nic nie straciły. Obok surowego męża wyglądała jak córka. Około niéj biegało jéj dziecię o długich czarnych włosach, spadających bujnie aż poniżéj ramion. Na widok téj prostéj rodziny zdawało się, że to są mieszkańcy Pensylwanii, cotylko do salonu przeniesieni. Pani *Roland* nie mówiła już o niczém, tylko o publicznych sprawach,... dusza jéj wtedy egzaltowała się, a serce zawsze było wrażliwe i czujące.... Pamiętam ten spokojny i stanowczy ton z jakim oświadczała, że gdyby było potrzeba, poniosłaby głowę swoją pod topór. I wyznaje, że obraz téj czarującéj głowy pod toporem, zrobił na mnie głębokie, niezatarte wrażenie. To też późniéj dziwna stałość jéj, bohaterska jéj śmierć nie były dla mnie wcale niespodzianką. Wszystko w téj kobiecie głęboko uczute, prawdziwe; żadnego szychu, nic udanego. Była ona nietylko najmocniejszym, ale nadto najprawdziwszym charakterem naszéj rewolucyi. I już dla tego historyja ze czcią ją wspomina, a inne narody nam jéj zazdroszczą".

O.—

Lafirynda.

(Szkic obyczajowy.)

Lafirynda najsamprzód z obcych zrodziła się przywar — i dla tego też śp. Witwicki wymawiać każe: *Lafirinde — Lafiręda.*

Lafirynda jest kamelonem — zmieniającym barwę i formę, stósownie do okoliczności i osób, które jéj do smaku przypadły, które jéj czémkolwiekbądź zaimponować potrafiły: czyli to stanowiskiem społecznem, rozgłosem, hrabioską koroną a więcéj jeszcze mitrą — nareszcie elegancyją... choćby pięknemi rękawiczkami na trzy guziki — dandyzmem — sportsmaneryją — pietyzmem — racyonalizmem — tańcem itd.

Moda jest dla niéj wyrocznią, podstawą wszystkiego — nawet i religijności! — Bo *Lafirynda* bywa także i pobożnisią — biega do kościoła, ale... *pour faire parade*, z pięknie oprawną książką do nabożeństwa, do któréj dołącza niekiedy i drugą, już zużytą i nowennę jaką.

Strój głowy, zaczesanie włosów, choćby chińsko-japońskie, w którym wygląda jak istny koczkodon, niechaj tylko będzie modném, to *Lafirynda* przyswoi je sobie z pośpiechem. Krój sukni, kształt kapelusza, powinny być podług ostatnich wzorów, gdyby z niéj nawet czupiradło zrobiły, bo: moda dla mody! stało się jéj hasłem.

Język francuski jest dla *Lafiryndy* prawidłem. Udaje nawet, że go zna lepiéj od własnego: że jéj łatwiéj mówić po francuzku, aniżeli po polsku — że w pierwszym ma większą obfitość wyrazów. Pisze bez ortografii w tym języku wybranym, ale pisze. We własnym także liczne popełnia błędy — lecz to ją mniéj obchodzi. Piśmiennictwo polskie po większéj części dla *Lafiryndy* leży *tra los montes* — poza górami! i poza morzem. Gotowa powiedzieć, że zna niektóre utwory Kordyana i poezyje Beniowskiego.

Dziś *Lafirynda* będzie uprzejmą dla ciebie, słodką, najsłodszą, a jutro, w obecności jakiéj świetności salonowéj lub mitry — nie zechce ciebie poznać.

Lafiryndy zwykle miewają wzrok krótki, mrużą oczy i używają lornetek.

Lafiryndy mają i złą pamięć — tak samo, jak i wzrok słaby.

Lafiryndy są wielce rozrzutne i wielce skąpe zarazem: wyrzucają na zbytki, a skąpią na potrzeby wstrętliwie.

Lafiryndy udają sercowość — a są komedyjantkami tylko.

Lafirynda po największéj części nie jest ni złą ni dobrą — bo zbyt jest powierzchowną, ażeby była jednem lub drugiém — lecz wiele złego nabroić może.

Lafirynda jest powierzchowną, jak pył, który ze sprzętów zdmuchujesz, bo też i sama jest pyłem — pyłem zalegającym, a szkodliwym często.

Lafiryndy zastawiają się zawsze wielkiemi stosunkami rodzinnemi i towarzyskiemi — chociażby i kłamanemi.

Lafiryndy lubią parawany i potrzebują ich koniecznie.

Lafiryndy wieś nudzi — a lubią miasto, Drezno i Paryż szczególny dla nich mają urok.

Lafirynda jest pieszczotliwą, przytakującą i pochlebnisią... gdy tego potrzeba.

Zazdrość względem drugich kobiet, przyjaciółek swo-

ich, posuwa *Lafirynda* aż do zenitu. Począwszy od bucika aż do wielbiciela. Wszędzie pragnie być pierwszą — pochyla się wszelako z wdzięczną pokorą, przed hrabioską koroną, mitrą, i bankierskiemi milionami.

Lafirynda wiecznie goni za adoratorami, dopóki tylko służą lata. Póżniej osidla ich dla córek — jeżeli je ma — bo życia jéj pozostnie zadaniem, by zawsze młodzieżą otoczoną była.

Córki wychowa na lalki i porcelanowe figurki. O prawdziwém wykształceniu umysłu i serca, nigdy tam niemasz mowy. Celem ich powinno być łowienie konkurentów — a szczytem celów, majętny mąż.

Lafirynda nie ma narodowości żadnéj. Dla mody niestety, bawi się niekiedy w patryotyzm.

Lafirynda kłamie Bogu — ludziom — a nakoniec i sobie. *P.....a. W.....a.*

ROZMAITOŚCI.

— ***Dla użytku domowego.*** — **Nowy sposób oddzielania śmietany;** w tym celu mléko niezbierane stawia się w blaszaném naczyniu do machinki odśrodkowéj a po 400 obrotach to jest w przeciągu jednego kwadransa otrzymujemy śmietanę o 75% gęściejszą od śmietany zebranéj zwyczajnym sposobem z mléka przez 3 dni stojącego. Ma ona zbitość świeżego masła, rozrabia się łatwo z gorącemi, a trudniéj z zimnemi płynami. W pięciu do 10 minutach można z niéj zrobić bardzo dobre masło, zawierające bardzo mało maślanki. Przy téj metodzie robienia masła jak widzimy, obejść się można bez piwnic i składów na mleko, nadewszystko robota idzie bardzo prędko. (G. P.)

— **Na podarunek kolendowy** wyszła w Warszawie wyborna książeczka dla dzieci przez *Chęcińskiego* p. t.: „Dzień grzecznego Władzia“.

— **Zręczność**. „Chcecie widzieć człowieka zaambarasowanego? Posadźcie mężczyznę między dwoma kobietami, z których każda nie jest mu obojętną, potém uważajcie co za komiczna jego postać. Postawcie w tém samém położeniu kobietę między dwoma mężczyznami (co zapewne nie rzadki wypadek), a zdumiejecie się nad zręcznością, z jaką obu usidli, tak, że jeden z drugiego śmiać się będzie. Gdyby obom pokazała równe zaufanie i poufałość, wynikłoby z tego, że oba mają równe prawa. To téż daleka od tego, ona udaje wybornie różnicę, jaką między nimi czyni. Jednemu pochlebia, i zdaje mu się, że to uczucie — drugiego maltretuje, i zdaje mu się, że to umyślna gra. Każdy zadowolony z swojego działu, sądzi, że ona się tylko nim zajmuje — podczas gdy w istocie zajmuje się tylko samą sobą“. I. I. Rousseau.

— **Polowanie na włosy**. Prawdziwe polowanie na włosy odbywają teraz francuzcy komisanci, z powodu ogromnéj ich potrzeby na teraźniejsze stroje głów damskich, którym dostarczyć nie mogą. We Francyi szczególnie Bretanija i Auvernia dostarczają najobficiéj tej „strzyży.„ Z Bretanii przychodzi rocznie do Paryża około 20,000 fnt. włosów, z niższej Normandyi 16,000, z Bourbonais, La Marche, Limousiny i Perigerdu 20,000, z właściwéj Auvernii i wyższéj Langwedocyi 8,000 fnt. Oprócz tych 64,000 fnt. produkcyi krajowéj dostarczają obcy spekulanci do Francyi 28,000 fnt. mianowicie z Belgii 16,000, z Włoch 8,000 fnt., z Niemiec 4,000 fnt. Pokazuje się ztąd, że dotąd Niemki w dostarczeniu tego towaru są najmniéj chojne, zważywszy, że w téj liczbie oprócz właściwych Niemiec liczą się jeszcze Węgry, Czechy, Morawy, Polska i Rosyja południowa. Co do Włoch, to handel ten ogranicza się jedynie na Wenecyi, Lombardyi i Piemoncie. 2000 nożyc pracuje ciągle w tej gałęzi przemysłu, z których 1,500 na samą Francyją przypada. (G. P.)

Korespondencja „Kaliny“.

Cz. F. — Nieprzydatne.

D. Lwów. — Dziękujemy i prosimy nadal — ale abyśmy mogli umieszczać artykuły zajmujące się bieżącemi faktami, musimy wiedzieć od kogo pochodzą — wiadomość wyłącznie dla Redakcyi.

R. R. — Listownie.

Od zarządu sprawunkowego „Kaliny“.

Pani **R.** w Z. — Z pierwszéj przesyłki pozostało 30 cent. — w drugiej brakło 1 złr. 70 c. — pozostaje niedobór 1 złr. 40 c. w. a.

Pani **Mo.** w L. — Musimy dopiero z Warszawy sprowadzić.

Dla uniknienia nieporozumień, podajemy niniejszém wyjaśnienie dla Sz. Prenumeratorów miejscowych: że „**Kalina**“ **wychodzi co sobota o godz. 9téj rano**, — a odbierać ją można **codziennie**, ale **tylko między godz. 9tą a 12tą rano**.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Tadeusz Wojciechowski

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. 1866.